

Krzysztof  
Spadło

# Skazaniec

Tom VII

 Silver Lemon

Krzysztof Spadło

# Skazaniec

PROJEKT OKŁADKI:  
Dariusz Herbowski

ZDJĘCIE:  
Dariusz Herbowski

KOREKTA I REDAKCJA:  
Małgorzata Wawrzyniak

ISBN:  
978-83-951263-4-5

WYDAWCA:  
KAGO

KONTAKT:  
kago@skazaniec.com  
krzysztof.spadlo@skazaniec.com

KONWERSJA DO WERSJI E-BOOK:  
Marcin „Kamyk” Kamiński (dobre.media)

Copyright © 2018 Krzysztof Spadło & KAGO

[www.skazaniec.com](http://www.skazaniec.com)

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub  
całości bez zgody wydawcy zabronione.

Wydanie I 2018

*Dla mojego syna Bartosza  
z okazji 25-tych urodzin.*

tom VII

Jutro jest czyste

Miałem niespełna siedemdziesiąt lat, kiedy poznałem teorię Cyferki na temat Liczby Życia i muszę przyznać, że począwszy od tego dnia dopadło mnie uczucie, które określa się mianem chorobliwej obsesji. W jednej chwili mój cały świat legł w gruzach. Wszystkie zdarzenia i fakty, jakie miały miejsce w mojej przeszłości, zyskały zupełnie nowe oblicze. To było jak gorzkie objawienie, które uświadomiło mi, że moja egzystencja z jakiegoś powodu jest naznaczona magią liczb. Przypadek czy niefortunny zbieg okoliczności może się zdarzyć raz, no dobrze dwa, a nawet trzy razy z rzędu. Jednak w moim wypadku prawie wszystkie ważne wydarzenia, które miały wpływ na moje istnienie przypadały w dniach, kiedy data sprowadzona do pojedynczej liczby dawała cyfrę jeden. Obłędne, prawda? Myślę, że niektórzy z was również są obarczeni piętnem Liczby Życia. Ciekaw jestem, co o tym sądzicie? Czy to zaprzęta wam głowę? Spędza sen z powiek? Wprowadza w stan niepokojącego osłupienia? Nasuwają się wam jakieś wnioski? A może znaleźliście sensowne wytłumaczenie, którego ja nigdy nie odkryłem?

Z początkiem lata 1970 roku ogarnęła mnie prawdziwa paranoja. Nie byłem w stanie kontrolować tego uczucia. Zatraciłem się w grzebaniu we własnych wspomnieniach i wyszukiwaniu dat, które zapisywałem w swoim kajecie. Każdą wolną chwilę poświęcałem na te zajęcia, aż pewnego dnia, a było to pod koniec jesieni, Johnny Alcatraz nie wytrzymał i stwierdził, że zaczynam świrować.

- Co masz na myśli? - Zapytałem, patrząc na niego obrażonym wzrokiem.
- Co mam na myśli?! - Powtórzył. - Na przykład to, że praktycznie wcale się nie odzywasz. Wrócisz z tego pieprzonego archiwum, zjesz obiad, a potem zalegasz na pryczy i kreślisz coś w tym swoim wyświechtanym zeszyciku. Piszesz te cholerne daty, jakbyś chciał uwierzyć, że zasrana Liczba Życia jest najważniejsza w świecie. Nawet jeśli tak, to co z tego? Czy to coś zmieni? Myślisz, że zdarzy się cud i cofniesz się w przeszłość? Na co liczysz? Sądzisz, że któregoś dnia ockniesz się, a dookoła ciebie będzie inny świat?! - Swoje słowa wypowiadał z takim wyrzutem, jakbym robił coś bardzo złego.
- Daj mi spokój i zajmij się swoimi sprawami, dobrze?! - Odburknąłem.
- Któregoś dnia poprzestawia ci się we łbie i na tym się skończy - stwierdził. - Zostaniesz starym, zbikowanym pierdzielem - powiedział i

postukał się palcem w środek czoła. - No powiedz Cyferka - zwrócił się do Gryskiego - mam rację? A swoją drogą, to wszystko przez ciebie.

- Przeze mnie? - Odparł zaskoczony Cyferka.

- Tak, przez ciebie. Nagadałeś nam bzdur o magii liczb i teraz chłop szyfruje swoje całe życie - kiwnął głową w moim kierunku.

- A może to jest dla mnie bardzo ważne? - Wtrąciłem się do rozmowy.

- Ważne?! - Odpowiedział Johnny. - Ważne?! Liczy się przyszłość. Było co było. Minęło, odeszło i nigdy nie wróci. Nie pomogą żadne czary. Można sobie popitolić bzdury o podróżach w czasie. Nie przeczę, lubię takie gadki, ale są pewne granice. My friend, być może tego nie dostrzegasz, ale my z Cyferką doskonale widzimy, co się dzieje. Tylko spójrz co się z tobą stało przez tych kilka miesięcy!

Miałem wrażenie, że w jego spojrzeniu czaiła się troska. Przez moment poczułem się trochę głupio, jednak mimo to, odparłem:

- Może znajdź sobie jakieś zajęcie, a wtedy nie będą cię dręczyć moje problemy. Ozurskiego już nie ma na peronach, zrób coś ze swoim życiem i zajmij się czymś mądrzejszym niż udzielanie rad.

Ktoś inny będący na miejscu Johnnego pewnie obraziłby się na amen słysząc takie słowa, ale on tylko pokiwał z politowaniem głową i machnął ręką, jakby chciał powiedzieć:

- Pocałuj mnie w dupę.

Może nie uwierzycie, ale powiem wam, że lata spędzone w więzieniu nauczyły mnie sumiennosci i wpoiliły mi poczucie obowiązku. Żałuję, że dopiero w pudle zdałem sobie sprawę, iż jestem odpowiedzialny za swoje życie i zrozumiałem prawdę ukrytą w starym porzekadle, że każdy jest kowalem własnego losu. Dziś wiem, że to właśnie parszywa egzystencja skazańca ukształtowała mój charakter. Świadczy o tym chociażby fakt, iż większość zasądzonego wyroku przepracowałem w stolarni. Jeśli byłbym partaczem lub źle wykonywał swoją robotę, to przecież nie zagrzałbym tam długo miejsca, prawda? Kiedy Szorpak wziął mnie pod swoje skrzydełka i załatwił mi fuchę w archiwum, naprawdę poczułem się wyróżniony i zrozumiałem, że ten młodzieniec musi mnie darzyć sympatią. Przecież nie trzeba mieć żadnych fenomenalnych zdolności, żeby odpowiednio posegregować dokumenty. Byle głupek mógłby się tym zająć, jeśli posiadałby jedną istotną cechę - rzetelność. Tylko nie zrozumcie mnie źle, bowiem zawsze byłem wdzięczny wronieckiemu archiwście, że zrobił ze mnie swojego pomagiera. Jedynym mankamentem była kwestia urlopowa, bowiem kiedy Szorpak szedł na

zasłużony od pracy wypoczynek, ja w tym czasie gniłem w celi. Archiwum zamykano na trzy spusty, a cała jednostka penitencjarna nadal funkcjonowała bez zarzutu.

Przyznam się wam, że praca w podziemiach budynku administracyjnego była dla mnie prawdziwą przyjemnością. Spędzając każdą roboczą dniówkę pośród regałów pełnych szarych teczek nie rozmyślałem o tym, które dni z mojej przeszłości są napiętnowane Liczbą Życia. Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać. Właśnie w ten sposób objawiała się moja sumienność i poczucie obowiązku. Recepta jest bardzo prosta - jeśli człowiek coś robi, to musi się na tym koncentrować i poświęcić temu całą swoją energię i uwagę.

Przez wiele miesięcy żyłem w dwóch światach. Z jednej strony pochłaniała mnie praca pod kierownictwem Szorpaka i dzięki niej na kilka godzin uwalniałem się ze szponów obsesji. Natomiast po powrocie do celi z letargu budziła się moja koszmarna paranoja. Echa przeszłości rozbrzmiewały w myślach, a wspomnienia kąsały niczym wściekłe psy. Całkiem możliwe, że jeśli nie miałbym wtedy zajęcia w archiwum, to popadłbym w obłęd. Zdaję sobie sprawę, że w tej chwili moje słowa są zrozumiałe tylko dla ludzi, którzy w swoim życiu doświadczyli umysłowej aberracji.

Opowiem wam po kolei, co wydarzyło się przez trzynaście długich miesięcy, poczynawszy od dnia kiedy poznałem teorię Cyferki. Śmiem nawet twierdzić, że jeśli tamten dzień nie miałby w sobie piętna liczby jeden, to chyba nie uległbym temu szaleństwu. Niestety wszystko potoczyło się inaczej. Jak już wiecie, najpierw odkryłem, którego dnia zginął Szumski i poznałem datę urodzin Ozurskiego. Potem przeżyłem szok z anagramem, a po powrocie do celi Cyferka uraczył mnie wiedzą, której wolałbym nigdy nie poznać.

Dziś mogę z czystym sumieniem powiedzieć, że teoria Gryskiego położyła się mrocznym cieniem na moim życiu.

Wszystko zaczęło się od cholernej Liczby Życia, która w moim wypadku wynosi - jeden.

Jeżeli ktoś z was za chwilę stwierdzi, że opowiadam bzdury, to niech zerknie w poprzednie skoroszyty i skrupulatnie sprawdzi daty, które przewijają się na pożółkłych stronicach. Wszystkie najważniejsze wydarzenia z mojej przeszłości są poparte twardymi faktami. Naprawdę nie potrafię wytłumaczyć, jak to możliwe, że tak wiele spraw wydarzyło



się dokładnie wtedy, kiedy daty tych zająć były napiętnowane cyfrą jeden. Chcecie przykładów? Nie ma problemu, proszę bardzo. 21 maja 1919 roku, tego dnia po raz pierwszy zobaczyłem Agnieszkę, dziewięć dni później dochodzi do naszego spotkania twarzą w twarz. Feralny 21 luty 1922 roku. Tego dnia Wiktor zabija policjanta, a ja zostaję aresztowany i oskarżony o popełnienie tej zbrodni. Trafiam do Wroniek i kilka miesięcy później pakuję się w idiotyczny interes ze szmuglem morfiny. Ponoszę surowe konsekwencje, bowiem rozkazem naczelnika z dnia 17 maja 1923 roku zostaję ukarany zakazem otrzymywania korespondencji, paczek oraz odwiedzin. W dniu naznaczonym cyfrą przypisaną do mojego istnienia zawieram pakt z Czarnym. W cieniu parszywej jedyńki doszło do dwóch brutalnych zdarzeń w których brałem czynny udział, a ofiarami byli Prezes i Hrabia. Najmroźniejszą noc w swoim życiu przeżyłem 24 grudnia 1927 roku, kiedy Szumski kazał mi odśnieżać cholerny spacerniak. Potem nastaje pamiętny 4 października 1931 roku. Znienawidzony przeze mnie Wszawy Mendziarz zostaje zamordowany przez Wolfa, który następnie popełnia samobójstwo i na dokładkę tego samego dnia na świat przychodzi Modest Ozurski! Trzy lata później zostaję zdradzony przez Konia w dniu, kiedy Liczba Życia wynosi jeden. Czas mknie do przodu i nastają mroczne lata II wojny światowej. Chyba nie muszę wam mówić, jaka cyfra rządziła tej nocy, kiedy razem z Antkiem podjęliśmy próbę ucieczki... Po latach udręki więzienie zostaje oswobodzone, pojawia się major Wiktor Kozłow i do naszego spotkania dochodzi 13 maja. Niczym naiwne dziecko wierzę, że liczba 13 która prześladowała mnie od lat, teraz jest moją przepustką do wolności. Sęk w tym, że za 13 maja 1945 roku czai się parszywa cyfra jeden. Dobrze wiecie jak to się kończyło, najpierw karczer, a potem zostaję uświadomiony, jaki czeka mnie los. Sześć lat później w mroźny wtorek 18 grudnia 1951 roku odwiedza mnie Małgorzata Dowell i dowiaduję się od niej, kiedy zmarła jej matka. Dzień śmierci Agnieszki oraz wszystkie daty, które zapisałem powyżej mają Liczbę Życia - jeden! Sprawdziłem również, jaką cyfrę opatrność przypisała dziewczynie, którą kochałem nad życie i w jej wypadku okazało się, że to była trójka. Jeśli idzie o mnie, to na tym jeszcze nie koniec, bowiem magiczna jedyńka prześladowuje mnie nadal. 18 lipca 1965 roku Ozurski wydaje polecenie o naprawach sprzętu w celach i na szczęście, jego decyzja umożliwia mi ukrycie broni. W marcu 1970, a dokładnie 23 marca zostaje mi przyznana emerytura. Trzy miesiące później otrzymuję propozycję darmowej pracy we wronieckim archiwum i tego samego dnia poznaję teorię Cyferki. Znowu wszystko dzieje się w tych dniach, do których jest przypisana liczba jeden! Chcecie

jeszcze więcej?! No to jedziemy z tym światem! Ali Bajsztok i jego ojciec odwiedzają mnie w pudle, a mój młody kumpel wspiera mnie plikiem jednodolarowych banknotów i ta sytuacja ma miejsce 9 maja 1976 roku. Pomijam mniej znaczące epizody, chociaż było ich wiele i wybiegnę w bardziej odległą przyszłość. Jak myślicie, która cyfra królowała w tym dniu, kiedy dowiedziałem się, że wychodzę z paki? O tak, dobrze kombinujecie, jedynka! I pozwolę sobie zacytować słowa Johnnego, który nie raz zwracał się do mnie w ten sposób: "przecież to twoja pieprzona Liczba Życia!"

Numer był taki, że nie wypuścili mnie od razu z pudła. Odzyskałem wolność, a mimo to spędziłem w pierdłu jeszcze ponad tydzień. Pojawił się problem związany z dowodem osobistym. Nie posiadałem takowego dokumentu, a dyrektor więzienia oznajmił mi, że opuszczę zakład karny dopiero wtedy, jak będę posiadał książeczkę w zielonej okładce. Byłem uzależniony od kogoś na państwowym garnuszku. Od nieznanego mi człowieka, który pracował w Urzędzie Miasta, a ściśle rzecz ujmując w dziale ewidencji ludności. Ów człowiek na pewno był zadowolony ze swojej posady, bo każdy urzędnik objęty ramieniem władzy ma ku temu ogromne powody. Wspaniale jest piastować państwowe stanowisko, które pozwala przez pół dnia pierdzieć w ciepły stołeczek, a petentów traktować jak intruzów. Zawsze tak było i będzie. Ci z was, którzy mieli w życiu do czynienia z wszechwładną biurokracją, doskonale wiedzą jak funkcjonuje jej machina. W urzędach państwowych nie załatwia się spraw od przysłowiowej ręki. Potrzebne są pisma, pieczętki, formularze, opłaty, znaczki skarbowe, sranie w banie i cały tydzień w dupie. Jednak w końcu przyszła ta chwila, kiedy jako wolny człowiek przekroczyłem bramę wronieckich kazamatów, zostawiając za sobą swoją całą parszywą przeszłość. Zapewne domyślacie się, że tamtego dnia też rządziła cyfra jeden... Ironia losu? Przypadek? Kolejny ślepy traf? Błagam was, zlitujcie się i nie każcie mi wierzyć w takie pierdoły! Coś, co trudno wytłumaczyć, określamy mianem przeznaczenia albo zbiegiem okoliczności.

Nie zgadzam się z takim twierdzeniem.

Nie przyjmuję tego do wiadomości.

Wierzę w piętno Liczby Życia.

Moja obsesja narodziła się w słoneczne popołudnie 23 czerwca 1970 roku i nie był to proces, który rozwijał się powoli i systematycznie. Ufam, że wiecie co znaczy w dosłownym tłumaczeniu niemieckie słowo - "Blitzkrieg". To określenie typowo wojskowe i oznacza tak zwaną wojnę

błyskawiczną. Totalny zmasowany atak. Miażdżące uderzenie przeprowadzone potężnymi siłami, mające na celu roznieść przeciwnika w drobny pył i nie pozostawić mu żadnych szans na obronę. Nigdy nie walczyłem na froncie i nie wiem, jak to jest siedzieć w okopie, ruszyć do szturmowania czy też zaciekle bronić się przed najeźdźcą. Nie znam tych uczuć. Wiem natomiast, co dzieje się z człowiekiem, kiedy traci kontrolę nad własnym rozsądkiem i zostaje opętany przez obsesję. Doświadczyłem czegoś, co dziś mógłbym nazwać medyczno-wojennym terminem "psychiczny Blitzkrieg". W swoim życiu przeczytałem bardzo dużo książek, zdobyłem wiadomości z różnych dziedzin, co oczywiście nie upoważnia mnie do tego, żebym ubiegał się o jakiś naukowy tytuł. Wiedza, którą posiadam pozwala mi natomiast wysunąć pewien ponury wniosek. Otóż, każdy człowiek, bez względu na swój wiek, płeć, wykształcenie czy status społeczny, może paść ofiarą choroby psychicznej. Nie chcę zagłębiać się szczegółowo w istotę sprawy i dochodzić, jakie dolegliwości należy nazwać chorobą, a które określić mianem nieszkodliwych odchyłeń. To temat rzeka i jeśli chciałbym czegoś przed wami dowieść, to mógłbym w swoich wywodach popłynąć w przeciwnym kierunku niż zamierzam. Nie sądzę, żeby ktokolwiek z was miał nawet cień wątpliwości, iż stany umysłu określane mianem obsesji lub paranoi należy nazwać inaczej niż zaburzeniem psychicznym, prawda? Idąc dalej tym tropem, śmiało można uznać, że każde zaburzenie funkcji żywego organizmu to objaw choroby. Zgadza się z tym, tak? Skoro podzielacie moje zdanie, znakiem tego jedziemy na tym samym wózku. Wniosek zostaje zatwierdzony, a obsesję i paranoję jednomyślnie określamy mianem choroby psychicznej i na tym etapie zamykamy drażnienie tematu. Moja wewnętrzna potrzeba, nakazuje mi opowiedzieć o tym, co stało się ze mną, kiedy poznałem teorię Liczby Życia. Na moim przykładzie przekonacie się, jak łatwo wpaść w sidła własnej wyobraźni. Umysł, którym obdarzył nas Bóg Ojciec, a jeśli ktoś woli to mogę napisać, że Matka Natura. Nie robi mi to żadnej różnicy, choć osobiście jestem człowiekiem wierzącym i bardziej do mnie przemawia religia niż teoria ewolucji. Jednak palicho moje duchowe poglądy, chodzi o to, co mamy w głowach. Otóż ludzki umysł, to bardzo skomplikowany organ. Mamy tam coś, czego jeszcze nikt nie widział i wątpię, żeby kiedykolwiek ujrzał. Myśli. Miliony myśli, które mkną swobodnie i są dowodem naszej świadomości. Dzięki myślom potrafimy sięgać do wspomnień, snuć plany na przyszłość, przywoływać miłe uczucia i doznania. To one pobudzają naszą wyobraźnię, dzięki nim potrafimy tworzyć i zachwycać się pięknem.

Kiedy jest nam źle, kiedy coś kąsa duszę, to wystarczy, że zaczynamy myśleć o czymś przyjemnym i wszystkie troski znikają. Nasze nastawienie do życia, pogoda ducha i optymizm, są owocami zrodzonymi z pozytywnych myśli. One potrafią sprawić, że wzbijamy się ponad szczyty własnych możliwości i jesteśmy w stanie realizować rzeczy, które mogłyby się wydawać niemożliwe do osiągnięcia. Tak właśnie objawia się dar, który każdy człowiek otrzymał w chwili swego poczęcia. O rozsądnych ludziach mówi się, że są przy zdrowych zmysłach. Dostrzegacie teraz sens tego powiedzenia? Zdrowe zmysły. Zdrowe, czyli funkcjonujące bez zarzutu i będące całkowicie pod kontrolą człowieka, który nosi je w głowie. Problem pojawia się dopiero wtedy, kiedy myśli zdominują wolę swojego stwórcy. Pewnie niektórym z was wydaje się to niemożliwe, a wiecie dlaczego? Bo macie farta, a zły los ominął was szerokim łukiem. Kto z was potrafi odpowiedzieć na pytanie:

- Co działałoby się w mojej głowie, jeśli doświadczyłbym jakiejś podłej krzywdy albo tragedii?

I co? Wszyscy znacie odpowiedź? Oczywiście, że nie. Większość z was nie ma o tym najmniejszego pojęcia. Chodzi o to, że czasami życiowa katastrofa powoduje, iż w głębi duszy pojawia się wściekły krzyk, który rodzi przerażającą myśl. Potworną i obłądną, która jest w stanie zniszczyć nawet najbardziej rozsądną osobę pod słońcem. Chociaż z definicji człowiek jest istotą rozumną, to jednak potrafi powołać wyimaginowaną ideę, która zawładnie jego umysłem i pchnie całe życie w ramiona szaleństwa. Bardzo łatwo jest wpaść w sidła obsesji, ale wyrwać się z nich, to już wcale nie taka prosta sprawa.

Pamiętacie historię mojego kumpla Kazika? Wieki temu siedział w murach wronieckiego więzienia, pewnego dnia dostał list od swojej kobiety, która mu oznajmiła, że odchodzi. Nie poradził sobie z tym faktem. Doświadczył rozpacz i targnął się na swe życie. Czy możecie sobie wyobrazić, jak potworna myśl musiała zakiełkować w jego umyśle, że postanowił z sobą skończyć? Teraz rozumiecie w czym rzecz? Nie każdy człowiek potrafi zachować zimną krew i poradzić sobie z problemem w rozsądny sposób.

Najbardziej szaloną osobą, jaką poznałem w swoim życiu był Dziuba vel Dżordż. W jego głowie działo się coś tak niepojętego, że trudno to nawet opisać słowami. On po prostu nie panował nad swoim umysłem.

To w sumie dobry moment, żebym opowiedział wam właśnie teraz, krótką historię pewnego młodego człowieka, który trafił do pudła z początkiem lata 1977 roku. Koleś nazywał się Arkadiusz Manka i został wciągnięty na

listę ewidencji osadzonych w Zakładzie Karnym we Wronkach pod koniec czerwca. Miał do odbycia 12 lat za nieumyślne spowodowanie śmierci. Jego sprawa była bardzo pogmatwana, pełna niejasności oraz niedomówień. Oskarżyciel najpierw starał się nadać jej znamiona zabójstwa z premedytacją i żądał kary śmierci. W trakcie procesu okazało się, że wszystkie dowody i poszlaki zaczynają przemawiać na korzyść oskarżonego. Wtedy adwokacina zmienił front i próbował przekonać sędziów, że jest w stanie odstąpić od swego stanowiska i zgodzić się na zaklasyfikowanie czynu jako zabójstwo w afekcie, domagając się kary 25 lat więzienia. Jednak w finale sprawy, Manka został uznany winnym nieumyślnego spowodowania śmierci swojej żony i prawomocnym wyrokiem niezawisłego sądu, otrzymał surowy wyrok 12 lat pozbawienia wolności.

Zapamiętałem jego osobę, bowiem niespełna cztery tygodnie począwszy od chwili, kiedy zjawił się we wronieckiej stodole, został ogłoszony dekret o amnestii. Pamiętam, że pomyślałem wtedy, iż trzeba być niezłym farciarzem, żeby dostać wyrok i niemal natychmiast załapać się na amnestię. Oczywiście byłem w błędzie, bowiem po kilku dniach okazało się, że dekret głoszący o ulaskawieniu dotyczy jedynie osób skazanych za udział w wydarzeniach radomskich, do których doszło rok wcześniej. Osobiście nie zamieniłem nawet słowa z tym młodzikim, a całą ponurą historię usłyszałem dopiero trzy miesiące później, kiedy jego zwłoki opuszczały więzienne mury w sosnowej trumnie. W sprawie był rozeznany Olo Paszke. Nieszkodliwy git-człowiek, uznawany przez wszystkich skazańców za chodzące źródło informacji. Jeżeli chciałeś się o kimś czegoś dowiedzieć, zagajałeś do Oła, częstowałeś chłopca szlugiem i ciągnąłeś go za język tak długo, dopóki żar tlił się w jego papierosie. Olo był facetem po czterdziestce. Jako młody człowiek odbył Zasadniczą Służbę Wojskową w roli sanitariusza i dzięki zdobytym umiejętnościom, załapał się we wronieckim pudle na Izbę Chorych. Mieliśmy rok 1977, a środowisko grypsujących uległo już tak wielkiej ewolucji, że dla nikogo z git-ludzi jakiegokolwiek zajęcie nie stanowiło ujmy na honorze. Jeszcze dekadę temu, coś takiego byłoby nie do pomyślenia, ale w drugiej połowie lat siedemdziesiątych świat osadzonych miał już zupełnie inne oblicze.

We wrześniu 1977 roku po raz czwarty i ostatni zaliczyłem pobyt na Izbie Chorych. Złamało mnie strasznie. Dostałem zapalenia żołądka i powiem wam, iż w pewnym momencie byłem święcie przekonany, że nieuchronnie nadciąga kres mojej podróży przez życie. Chryste Panie,

nigdy mnie tak nie skręcało w trzewiach jak wtedy. Dolegliwości, które miałem kiedyś po przedawkowaniu parząchy to był przysłowiowy pikuś w porównaniu z tym, co przeżyłem z moimi bebechami jako siedemdziesięciosiedmioletni starzec. Czułem się tak, jakby ktoś przeciągnął moje kiszki przez wyżymaczkę. Okropny ból, a do tego doszły jeszcze wymioty i biegunka. Srałem pod siebie jak osesek. Lekarz zaserwował mi kurację antybiotykową i kazał mi faszerować medycznymi specyfikami. Łykałem jakieś tabletki, piłem ohydne zawiesiny, a dupę miałem podziurawioną od zastrzyków jak sito. Oczywiście nie obeszło się bez diety i tu muszę przyznać, że żarcie było przepyszne. Koryto, które wydawka rozwoziła po peronach, to były pomyje w porównaniu do jedzenia, jakie serwowano schorowanym więźniom. Kleiki i grysiki na mleku, suchary, herbatka, gorzkie kakao, treściwe zupy w postaci papki, kisiel, ryż, gotowane mięso z drobiu... Cuda takie, że palce lizać. Kurde, menu jak w ekskluzywnej restauracji!

W trakcie mojego ponad dwutygodniowego pobytu skumplowałem się z Olem. Na dobry początek naszej znajomości odpaliłem mu skrzynkę, żeby nie miał problemu skakać koło mnie. Dwadzieścia papierosów nie było wygórowaną zapłatą za jego zaangażowanie. Po tygodniu moje samopoczucie zaczęło wracać do normy, a nasze relacje były już na całkiem sympatycznej stopie. Popołudniami, kiedy kadra zakończyła pracę i zwinęła się do domu, Paszke przesiadywał obok mojego łóżka i toczyliśmy bajerkę. Gaduła był z niego nieprzeciętny i szybko zauważyłem, że każdą opowieść lubi podkoloryzować i dodać coś od siebie. Dowiedziałem się, że pochodził z Tychów, a później los rzucił go do Leszna. Olo był niepoprawnym recydywistą i miał już za sobą trzy wyroki. Sam twierdził, że nie nadaje się do resocjalizacji. Dwa razy odbywał zasądzone kary w więzieniu w Głogowie i raz we Wrocławiu. Podczas ostatniej rozprawy sędzieja zerknął na jego bogatą kartotekę i bez mrugnięcia okiem wlepił mu pajdę. Ponoć po zakończonym procesie człowiek w czarnej todze w elokwentny i zawołowany sposób powiedział, iż żywi nadzieję, że Aleksander Paszke w końcu przejdzie pozytywną metamorfozę, a odbycie kary we wronieckim więzieniu powinno się do tego przyczynić.

- Kat sądził, że mnie udupi, a ja tutaj żyję sobie lepiej niż u mamy - stwierdził Olo z uśmiechem na ustach.

- To ile jeszcze ci zostało do odsiadki? - Zapytałem patrząc mu prosto w oczy.

- Oj, Dziadek - westchnął ciężko i zdobywając się na wyżyny swoich

aktorskich umiejętności, powiedział - jeszcze prawie osiem długich lat. Paszke nie zwracał się do mnie Ropuch. Nazywał mnie Dziadek, a ja nie oponowałem.

Kto jak kto, ale Olo zapewne doskonale wiedział, że mam dożywocie i dlatego zapytał o coś innego:

- A ty ile już kiblujesz?

- W lipcu minęło okrągłe 55 lat - odparłem.

Spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem.

- Ile?!

Zarechotałem z rozbawieniem i dodałem:

- Jeszcze nawet tyle nie przeżyłeś, co ja odgarowałem, prawda?

- Ponad pół wieku - powiedział i uniósł do góry brwi, jakby chciał w ten sposób podkreślić swoje niedowierzenie. - Szmata czasu.

- Olo, tak szybko zleciało, że nawet nie wiem kiedy - czarny humor mnie nie opuszczał. - Osiem lat, to jak pstryknięcie palcami - rzekłem i w tym samym momencie wykonałem gest o którym mówiłem.

- Nie wiem czy dałbym radę tyle odpukać co ty - odparł mój rozmówca.

- A ile już łącznie lat straciłeś za kratkami? - Zapytałem wpadając mu w zdanie.

- Pierwszy wyrok półtora roku, drugi trzy lata, trzeci pięć i pół... - sprawiał wrażenie, jakby liczył w myślach.

- Czyli razem wychodzi dycha - rzuciłem zanim zdążył się odezwać. - Jak już odbębnisz swoje i wyjdiesz na wolność, to ile będziesz sobie liczył wiosenek?

- Pięćdziesiąt trzy - powiedział z kwaśnym grymasem na ustach i pokiwał głową w taki sposób, jakby chciał jeszcze dodać, że jawi się przed nim kiepska perspektywa.

- Kiedy się urodziłeś? - Zapytałem znienacka.

- W 1930 - odparł i podrapał się po głowie.

- A dokładnie? - Drażyłem temat.

- Czemu cię to interesuje? - Odpowiedział pytaniem.

- Ot tak, z czystej ciekawości - wzruszyłem ramionami.

- Precyzując - odparł - przyszedłem na świat pierwszego lipca 1930 roku. Zadowolony? - Posłał mi pytające spojrzenie.

Nic mu nie rzekłem, a po chwili uśmiechnąłem się i szepnąłem w duchu: - *Tak coś czułem, że jesteś spod trójki.*

Jako stary galernik zdawałem sobie sprawę, że ludzie pokroju Ola są spisani na straty. Rzadko kiedy recydywista w takim wieku wychodzi na prostą. Zawsze będę powtarzał, że jeśli ktoś przesiąkł kryminałem na

wskroś, to jego szanse na powrót do normalnego życia są równe zeru.

Pewnego dnia Paszke wpadł na Izbę Chorych bardzo podekscytowany. Podeszedł do mnie, usiadł na krawędzi łóżka i odezwał się półgłosem:

- Ty Dziadek, ale afera!

- Co się stało? - Zapytałem zaskoczonym głosem.

- Pamiętasz tego gówniarza, który pojawił się pod koniec czerwca? Wiesz, taki wystraszony młodzian, co ponoć załatwił swoją żonkę, ale się wywinął i dostał dwunastaka za nieumyślne spowodowanie jej śmierci. Czaisz gościa? - Trajkotał jak najęty. - Jakoś niedługo potem ogłosili amnestię i wszyscy klepali dziobami, że dzieciak ma szczęście, bo ledwo dostał wyrok, a już się załapał na ułaskawienie. Potem okazało się, że amnestia jest tylko dla frajerów z Radomia. Kojarzysz już?

- Taaa - odparłem przeciągle. - Pamiętam. Młody i przystojny. Jak on się nazywał? - Zapytałem i ciągnąłem dalej. - Miał takie dziwne nazwisko. Brzmiało niczym kobiece imię... Mańka?

- Nie Mańka, tylko Manka - poprawił mnie Olo. - Akadiusz Manka. No to wyobraź sobie, że koleś wczoraj wieczorem zważył się w łaźni!

- No co ty?! - Naprawdę byłem zaskoczony.

- Serio! Klawisz ponoć zaprowadził go na rejon. Zostawił go w tej łaźni razem z wiadrem i szczotą, a kiedy wrócił, to on już dyndał bez ducha. Powiesił się na swoim pasku.

- Co ty mówisz?! Taki młody synek - pokiwałem głową. - Czemu to zrobił?!

- Chuj wie - odparł wzruszając ramionami. - Chyba było mu źle pod celą. Trafił na fatalny kwadrat. On sam i dwóch ułanów - rozłożył bezradnie ręce. - Wiesz jak jest. Chłopak nie wykazał się charakterem. Przecwelili go zanim zdążył pierdnąć. Wszyscy o tym wiedzą, ale co z tego? Jak im udowodnią, że go ujeżdżali? Nic im nie robią. Nic! Co innego gdyby zacisnął pętlę na komnacie... Ja to ci powiem - stwierdził Paszke - że akurat tego nie rozumiem.

- Czego nie rozumiesz? - Zapytałem, bo nie miałem pojęcia cóż takiego ma na myśli.

- No nie kumam Dziadek tego, że z własnej woli można drugiemu koleśowi zapakować swój kindybał w styjkę. Ja tolerancyjny aż do bólu jestem, ale takie kurwa mać historie, budzą we mnie odrazę.

Dwa dni później Olo stał w oknie i spoglądał na świat po drugiej



stronie szyby.

- Dziadek wyskakuj z koja! - Rzucił w moją stronę. - Podejdz tutaj, a zobaczysz jak się teraz z kazamatów wyjeżdża!

Podniosłem się z łóżka, włożyłem stopy w wysłużone kapcie, które dostałem na czas pobytu w Izbie Chorych i poczłapałem w jego kierunku.

Z tego miejsca rozpościerał się widok prosto na więzienny dziedziniec. Częściowo był przysłonięty przez mur okalający pomieszczenia pralni i stolarni, ale i tak widzieliśmy z oddali serce wronieckiej twierdzy odkupienia.

Po prawej stronie, tuż przed budynkiem gdzie mieściła się brama wjazdowa stał pogrzebowy karawan. Obok samochodu jakieś dwie kobiety ubrane w czerń dyskutowały z dyrektorem więzienia. Jedna z nich bezustannie gestykulowała rękami. Wtem zobaczyliśmy jak z głównego budynku wyłoniło się czterech klawiszy, którzy dźwigając sosnową skrzynię, ostrożnie schodzili po kamiennych stopniach. W tej samej chwili z szoferki samochodu wyszedł kierowca i kilka sekund później otworzył na oścież tylne drzwi pojazdu. Strażnicy ulokowali trumnę na pace.

- Przykra sprawa - stwierdziłem patrząc na wprost. - Szkoda dzieciaka - i w tym samym momencie przypomniałem sobie historię tablicy, która swojego czasu znajdowała się w stolarni. W mojej duszy zaczęły się jawić wspomnienia o tym, jak na odwrocie żłobiłem dłutem imiona, nazwiska i daty śmierci ludzi, którzy dokonali żywota w tym więzieniu. Bóg jeden raczy wiedzieć jak długa byłaby dziś lista wszystkich ofiar.

- Ano szkoda - odparł Olo. - To co, skoczmy do kibelka zajarać? - Znienacka zmienił temat.

Chwilę później staliśmy obok okratowanego okna w toalecie lazaretu i ćmiliśmy szlugi.

- Powiem ci Dziadek, że sprawa tego łebka była szyta grubymi nićmi - Paszke zaciągnął się i zaczął snuć opowieść. - Chłopak kilka lat temu poznał miłą dziewczynę przeciętnej urody. Kto wie, może miała dobre serce, ale nie była z niej żadna gwiazda. Krótko mówiąc on przystojniacha, a ona poniżej przeciętnej.

- Skąd o tym wiesz? - Zapytałem wpadając mu w zdanie.

- A czy to ważne skąd? Wypytałem tu i tam, pogadałem, wysłuchałem, pociągnąłem za kilka języków. Z tym sztywnym młodzikiem też rozmawiałem. Wiesz jak to jest, kiedy warkniesz na świeżaka - Olo zrobił minę cwaniaka kutego na cztery kopyta i dodał: - Wystraszył się i wyśpiewał wszystko jak na spowiedzi. Tak więc poznał tę dziewczynę i

zaczął się z nią bujać. Z jakichś powodów jej matka była przeciwna tej znajomości. Chłopakowi nic nie można było zarzucić. Miał pracę, nie pił, nie palił, nie uganiał się za dziewczuchami, chociaż one się za nim oglądały. Dobry materiał na księdza. Porządny był synek. Ta przeciętna panienska zakochała się w nim na zabój, ale on nie oszalał na jej punkcie. Chyba chciała go zdobyć za wszelką cenę i zaciągnęła go do łóżka. Szczeniak raz sobie ukłuł, a ona miesiąc później mówi, że ją zapylił. Sprawy się skomplikowały i ani się obejrżeli, a już stali przed ołtarzem. Pannie było śpieszno do ślubu, żeby goście weselni brzucha nie widzieli. Ochajtali się i szybko poszli na swoje, bo chłopak dostał mieszkanie zakładowe. No i co się okazało? Ta ciąża to była ściema. Koleś nic nie posiał. Żył z nią, ale to było takie wiesz... - Zamilkł na moment, jakby szukał odpowiedniego słowa. - Takie nijakie. Na dodatek ona zaczęła być o niego piekielnie zazdrosna. Wrócił z pracy dziesięć minut później, to już była w domu afera, że chyba ma kochankę. Rentgena mu strzelała po kieszeniach, jakby na siłę szukała dowodu, że łązi na jakieś kurewstwo, że ją zdradza, że ma kogoś na boku. Rozumiesz, odbiło jej na maksa. Zaczęło się z nią dziać coś niedobrego. Zrobiła się z niej histeryczka. Przeżył z nią rok, aż w końcu powiedział, że ma dość takiego żywota i odchodzi. Kiedy ona usłyszała o jego zamiarach oświadczyła, że jeśli ją zostawi, to się zabije. Podetnie sobie żyły, odkręci kurek z gazem albo nałyka się jakichś proszków. On jej na to, rób co chcesz. Złapał za walizkę, spakował niezbędne ubrania i wrócił do swoich jareckich. Dwa dni później zjawia się milicja i informuje młodzika, że jego żona leży w szpitalu. Nażarła się suka tabletek. Nic jej nie było, ale afera zrobiła się potężna. Matka tej szurniętej, też musiała być nieźle stuknięta, bo powiedziała, że to jego wina. Tak go osaczyli, takich bzdur mu do głowy nakładli, że zaczął się czuć winny. Wrócił więc do żony i wspólnie postanowili zacząć od nowa. Nim upłynął miesiąc, nastąpiła powtórka z rozrywki. Znowu kłótnie, awantury i kolejne bezzasadne podejrzenia. Była wtedy zima. Wiesz jak to jest w bloku, dwadzieścia mieszkań w klatce i wspólne pomieszczenia strychowe. Ludzie pranie robią i trzeba gdzieś te ciuchy wysuszyć. Pewnego dnia u drzwi młodego małżeństwa zjawiała się sąsiadka, która mieszkała dwa piętra niżej. Rasowa sztuka po trzydziestce. Solidny cyc, fajna dupa, słowem grzechu warta. No i ta sąsiadka przychodzi, a w dłoniach trzyma parę kalesonów i mówi tej przewrażliwionej, że chyba przez przypadek zwinęła ze strychu garderobę jej męża. Kiedy ta zobaczyła gacie, to było już po zawodach. Ryja wydarła na sąsiadkę, że puszcza się z jej mężem. Bogu ducha winna baba stoi w progu i robi duże

ślepie, a tamta jedzie z tym koksem i o mało pazurami oczu jej nie wydrapie. Chryja na całego. Chłopak wraca z roboty na chatę i dowiaduje się, że tym razem jest podejrzany o pukanie sąsiadki. Histeryczka nie przyjmuje do wiadomości żadnych wyjaśnień. Absurdalna sytuacja przybiera niewyobrażalne rozmiary. Młody wymięka i mówi, że to definitywny koniec, że ma serdecznie dość tego cyrku. Buty na nogi, kurtka na grzbiet, wychodzi z mieszkania i... I wtedy dochodzi do tragedii. Nie ma żadnych świadków, ale jest ofiara. Żona młodzika leży u stóp schodów ze skręconym karkiem. Przybywa milicja, zjawia się prokurator i przystępują do oględzin domniemanego miejsca zbrodni. Chłopak twierdzi, że to był wypadek. Przyznaje, że doszło między nim a żoną do kłótni. Mówi uczciwie jak było, że chciał wyjść z domu, a rozjuszona połowica wyskoczyła za nim na klatkę, poślizgnęła się na posadzce i runęła w dół. Jej matka obstaje przy tym, że on zepchnął ją ze schodów. W świetle zeznań sąsiadów jawi się wizerunek małżeństwa, które nie żyło z sobą w zgodzie. Matka zabitej oskarża chłopaka o zabójstwo. Gościu dostaje 12 lat paki i coś mi się wydaje, że beknał za friko. Tylko co z tego? Jakie to ma znaczenie, skoro koleś jest już sztywny - stwierdził Olo i cisnął niedopałek przez okno.

Jeśli przyjąć, że historia którą opowiedział mi Paszke zdarzyła się naprawdę, to sami widzicie, że w relacjach pomiędzy dwójką ludzi jest również miejsce na urojenia. Skąd one się biorą? Gdzie tkwi przyczyna? Czy człowiek ogarnięty obsesją musi mieć ku temu jakiś konkretny powód, czy może wystarczy tylko sobie coś wmówić albo ubzdurać? Nie sposób odpowiedzieć na te pytania, tak samo jak nie sposób zrozumieć potęgi ludzkiego umysłu.

Przytoczyłem tę historię nie po to, żeby opowiedzieć o dramacie młodego chłopaka, ale żeby ukazać wam, jaka niewyobrażalna moc tkwi w skrzywionej wyobraźni i złej interpretacji faktów. Coś o tym wiem...

Tak jak wspomniałem kilka akapitów wcześniej, z początkiem lata 1970 roku zacząłem grzebać w pamięci i wyłuskiwać wszystkie najbardziej istotne zdarzenia, które miały wpływ na moje życie. Skrupulatnie spisywałem daty i obliczałem przypisaną do nich Liczbę Życia. Przeklęta cyfra jeden jawiła się niemalże w każdym wypadku. Byłem tak podekscytowany moimi odkryciami, że dostawałem wypieków na twarzy, a dudniący puls rozsadzał mi skronie. Zacząłem również w nadmiarze używać określenia "to niesamowite!". Potrafiłem o tym mówić bez końca, a Johnny Alcatraz i Cyferka musieli wysłuchiwać moich

wywodów. Na początku nie kryli swojego zaskoczenia i tak samo jak ja, byli zszokowani.

- Kurde Ropuch, ta pieprzona liczba faktycznie cię prześladowuje! - Stwierdził Johnny. - Coś musi w tym być. Jak myślisz Cyferka, czemu u mnie twoja teoria wcale się nie sprawdza?

- Nie wiem - odparł Gryski i bezradnie wzruszył ramionami. - Trudno mi cokolwiek powiedzieć.

- Dokonałeś odkrycia i nie wiesz, jak je wytłumaczyć? - Nasz młody rockandrollowiec był niepokieszony.

- Nie nazwałbym tego odkryciem - Cyferka odpowiedział niczym wprawny dyplomata. - Wolałbym, żebyś to traktował jako ciekawostkę i matematyczny paradoks. Bez urazy kolego, ale nie ma sensu, żebyśmy się zagłębiali w dyskusję, kiedy brak ci podstawowej wiedzy na temat tworzenia algorytmów.

- Nie bądź taki cwany - rzucił z uśmiechem Johnny - bo o rytmach i bitach wiem całkiem sporo. - Po czym zaczął dłońmi uderzać w poręcz pryczy, wybijając skoczne takty.

Miesiąc później ich entuzjazm ostygł, ale byli na tyle uprzejmi, że nadal udawali swoje zainteresowanie.

Pod koniec lata puszczały moje słowa mimo uszu i przestali cokolwiek komentować.

Najdziwniejsze było to, że ja wcale się tym nie zrażałem. Nie jestem pewien, czy w ogóle zauważałem ich obojętność i znudzenie. Chyba już wtedy zacząłem się zachowywać jak ktoś, komu zaczęło nieźle odbijać. No bo sami powiedzcie, jak można inaczej opisać człowieka, który gada jak najęty i nie zwraca uwagi na swoich rozmówców?

Jeśli mam być szczery, to muszę się przyznać, że nie pamiętam moich siedemdziesiątych urodzin. Kurwa mać, nie pamiętam jak spędziłem ten dzień! Domniemywam, że zapewne leżałem na pryczy i drążyłem w umyśle tunele, wiodące w zamierzchną przeszłość.

W pierwszej połowie grudnia miałem spięcie z Johnnym, kiedy powiedziałem kilka słów za dużo i naprawdę żałuję, że zignorowałem to zajście. Powinienem już wtedy przejrzeć na oczy, skończyć z urojeniami i nie brnąć w otchłań pozbawioną wyjścia. Stało się jednak inaczej...

Przez sześć miesięcy wałkowałem w umyśle swoje całe życie. Robiłem to każdego dnia i nawet nie zauważyłem, kiedy minęło pół roku! Czas przemknął, zostawiając po sobie tylko uczucie wyjałowionej pustki.

Nie jestem w stanie powiedzieć, co wtedy się wydarzyło. Wiem tylko, że przez te cholerne miesiące nie przeczytałem ani jednej książki. Jeśli sądzicie, że to było żalosne, to jesteście w błędzie. Najgorsze dopiero miało nadejść i zaczęło się z początkiem 1971 roku.

Moja paranoja zyskała zupełnie nowe oblicze.

- Cyferka, co o tym sądzisz? - Zapytałem Gryskiego i podałem mu kartkę papieru, na której rozrysowałem tabelkę przypominającą kalendarz. Wyszczególniłem tam dni począwszy od poniedziałku 4 stycznia do ostatniego dnia miesiąca, który przypadał w niedzielę. Obok dat naniosłem również cyfry, które określały, jaka Liczba Życia króluje danego dnia.

Wiedziałem, że tak inteligentny facet jak on, błyskawicznie zorientuje się w czym tkwi istota sprawy.

- Ciekawe - odparł po chwili i dodał: - Ciekawe, ale zarazem niebezpieczne.

Na dźwięk jego słów, Johnny spojrział w naszą stronę i zapytał:

- Co tam knujecie dziewczęta?

- Ropuch próbuje przechytryć przyszłości - odparł Cyferka, który bezbłędnie rozszyfrował moje zamiary.

- Co tym razem wymyśliłeś Panie Szurnięty? - Rzucił Johnny, patrząc mi w oczy.

- Jak wiesz, istnienie każdego człowieka jest napiętnowane Liczbą Życia...

- Chyba tylko twoje - wpadł mi w zdanie.

Przewróciłem oczami, jakbym chciał rzec, że jeśli ma zamiar ze mną w ten sposób rozmawiać, to możemy sobie darować dalszą dyskusję.

- Chcesz się czegoś dowiedzieć, czy wolisz szydzić? - Zapytałem chłodno, dając mu do zrozumienia, że nie będę się z nim droczył.

- No dobrze dobrze, tylko mi tutaj nie szlochaj staruszkę - spojrział na mnie wzrokiem, w którym dostrzegłem nutkę kpiny i rzucił: - Nawijaj o swoich rewelacjach.

Przyznam się wam, że od jakiegoś czasu Johnny nieziemsko mnie drażnił. Ta jego swoboda, pełen luz i traktowanie wszystkiego i wszystkich z przymrużeniem oka, działały mi na nerwy. Sęk w tym, że on nadal był sobą, a ja, chociaż wtedy tego nie dostrzegałem, straciłem dystans do wielu spraw.

- Jeśli nie jesteś zainteresowany, to odpuśćmy sobie zbędną bajerkę - stwierdziłem.

- Ojejku jejku, patrzcie państwo! Słowa nie można powiedzieć, bo jaśnie wielmożny Ropuch poczuje się urażony. Gdybym nie był ciekaw, to wcale

bym nie pytał, prawda? - Powiedział i usiadł na pryczy.

Włożył dłoń do kieszeni i wyjął paczkę papierosów.

- Zapalisz?

Sięgnąłem po darowanego szluga.

Johnny podał mi ognia.

- No to opowiadaj, jak chcesz przechytryć przyszłość - powiedział i w tym samym momencie zerknął na Cyferkę, posyłając mu porozumiewawcze mrugnięcie.

Nie wytrzymałem.

Tego już było za wiele.

- Kurwa mać, Johnny! Dlaczego chcesz mnie na siłę wkurwić?! - Prawie wrzasnąłem.

- Kto? Ja? - Zapytał udając niewiniątko. - Generale - odparł łagodnym tonem i położył na piersi dłoń - gdzieżbym śmiał. Częstuję cię papieroskiem, zwracam się jak do kumpla, ja do ciebie z sercem, a ty do mnie z kamieniem.

Zacisnąłem zęby, żeby zdusić w sobie eksplozję gniewu i spokojnie zacząłem mu wyjaśniać w czym rzecz. Mówiłem powoli i starałem się nie zwracać uwagi na jego uszczypliwe komentarze.

Kątem oka widziałem, że Cyferka powstrzymuje się resztką sił, aby nie parsknąć śmiechem.

- My friend, no teraz to kumam o co kaman - powiedział Johnny, kiedy skończyłem mu tłumaczyć. - Problem w tym, że od kilku miesięcy stałeś się bardzo wrażliwy. Nie chciałem cię zdenerwować, tylko dowiedzieć się, jak według ciebie można przechytryć przyszłość.

- Albo oszukać przeznaczenie - dodał Gryski i obaj, jak na komendę zanieśli się szczerym śmiechem.

- Walcie się! - Syknąłem przez zaciśnięte zęby.

Rzeli niczym żrebaki. Wystarczyło, że jeden spojrział na drugiego i natychmiast ogarniała ich kolejna salwa śmiechu. Chichrali się do rozpuku. Johnny raz po raz tupał nogą w posadzkę i rękawem bluzy przecierał zapłakane z radości oczy. W ich rozbawionym skowycie było coś zaraźliwego. Nagle poczułem jak uchodzi ze mnie całe nerwowe napięcie i... Zacząłem im wtórować.

Styczniowy kalendarz, który stworzyłem wbrew zdrowemu rozsądkowi, zapoczątkował nowy rozdział mojej egzystencji. Nawet nie przypuszczałem, co mnie z tego powodu czeka. Jak wiecie Liczba Życia posiada dziewięć odsłon, a ich logiczna kolejność jest zachowana

począwszy od pierwszego dnia każdego miesiąca i zmienia się z rozpoczęciem nowego. Tak samo jak wszystkie zegary świata poruszają się w dwunastogodzinnym cyklu, chociaż ludzie na przestrzeni dziejów stworzyli podział doby na dwadzieścia cztery godziny, tak Liczba Życia ma dziewięć swoich żelaznych cyfr. Weźmy na przykład dzisiejszy dzień. Jest wtorek 26 maja 1992 roku. Dziś rządzi siódemka, jutro władzę przejmie ósemka, a w czwartek dziewiątka. W piątek na wszystkich kalendarzach świata będzie widniała data 29 maja, a Liczba Życia wyniesie jeden. W sobotę przyjdzie kolej na dwójkę, a w niedzielę 31-go będzie rządziła trójka. Natomiast pierwszego czerwca rozpocznie się nowy cykl, gdyż cyfrą przypisaną do tego dnia jest jedyńska. Tak to się właśnie dzieje, bowiem z początkiem każdego miesiąca zaczyna się nowe odliczanie. Może na pierwszy rzut oka wydaje się to pogmatwane ale mam nadzieję, że czytacie moje słowa ze zrozumieniem i dostrzegacie sens tego o czym piszę. Staram się wszystko wyjaśnić w najbardziej obrazowy sposób jak potrafię, bowiem tylko wtedy będziecie mogli pojąć istotę mojej obsesji.

Mój indywidualny kalendarz uwzględniał wszystkie daty oraz Liczbę Życia przypisaną do każdego konkretnego dnia. Oczywiście najbardziej interesowała mnie cyfra jeden, która w styczniu 1971 roku rządziła w dniach dziewiąty, osiemnasty i dwudziesty siódmy. Ślepo wierzyłem, że tylko wtedy może wydarzyć się coś ważnego, co przesądzi o moim losie. Właściwie, to byłem o tym święcie przekonany.

Myślę, że w tej chwili zdajecie już sobie sprawę, dokąd zacząłem wtedy zmierzać. Ktoś mógłby powiedzieć, że zachowałem się jak głupiec, że w moim wieku człowiek powinien mieć odrobinę rozsądku i trzeźwo spoglądać na świat.

Zgadza się.

Jednak cóż mogłem za to, że tak wiele wydarzeń z mojej przeszłości rozegrało się w dniach naznaczonych cyfrą jeden? Miałem tego nie brać pod uwagę? Pominąć tak bardzo istotne fakty i zlekceważyć tę wiedzę? Zostać świadomym ignorantem? A może nie zapanowałem nad własną wyobraźnią i dałem się ponieść? Skąd człowiek może wiedzieć, jakie czyhają na niego niebezpieczeństwa, kiedy jego świat wywraca się do góry nogami, a los prowadzi na mroczne ścieżki?

To wszystko wcale nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać.

Nie szukam dla siebie usprawiedliwienia za popełnione błędy, bowiem odpowiedzialność za własne wybory spoczywa tylko na moich barkach.

Nie oczekuję również zrozumienia albo litości. Przeżyłem koszmar i obnażam się przed wami ze swojej paranoi nie po to, żeby poczuć ulgę i wyrzucić z duszy jej ciężar. Będę natomiast usatysfakcjonowany, jeśli potraktujecie moje słowa jako przyjacielską radę lub ostrzeżenie. Nieważne jak zwał. Moje przesłanie jest bardzo proste - nigdy nie kroczyć na oślep za swoimi urojeniami.

9 stycznia 1971 roku był pierwszym dniem w moim życiu, który sprawił, że naprawdę zacząłem odbierać rzeczywistość w irracjonalny sposób. Zapewne doskonale wiecie, czym jest przecucie. Podejrzewam, że nie raz doświadczyliście takiego stanu umysłu i duszy, prawda? Przecucie może być dwojaki. Z jednej strony potrafi z sobą przynieść bardzo pozytywny oddźwięk pełen nadziei i niecierpliwego oczekiwania. Natomiast z drugiej, jest w stanie zaszczyć w głębi serca lęk i obawę. Strach wydaje się wtedy przybierać wręcz namacalną formę. W obu wypadkach człowieka ogarniają intensywne emocje i te duchowe doznania albo dodają nam skrzydeł, albo są ołowianym ciężarem. Teraz wyobraźcie sobie, że trafia się taki dzień w waszym życiu, kiedy każdy zakamarek waszego jestestwa odbiera przecucia, zarówno te dobre jak i złe. Nie potraficie tego przerwać, żeby wytchnąć choćby na sekundę. Czujecie dookoła siebie pozytywną energię, lecz nagle zaczynacie się martwić, że coś pójdzie nie tak. Zmienacka stan miłej euforii zamienia się w panikę. Człowiek ma wtedy wrażenie, że jego wszystkie mięśnie przeistaczają się w stal. Uczucie wewnętrznego napięcia nie objawia się w żaden fizyczny sposób, a jednak niesie z sobą wrażenie, że coś przerażającego może zmiażdżyć stawy i kości. Wtem jedno spojrzenie albo ciepła, krótka myśl sprawiają, że powraca wiara w nadzieję i znowu wzbijacie się do chmur. Popadacie ze skrajności w skrajność, bowiem trawi was to cholerne przecucie, że przecież coś się wydarzy! Jesteście tego pewni, jak własnej śmierci, jednak problem w tym, że nie macie pojęcia co przyniesie z sobą los. Czy to będzie powód do radości, czy do gorzkich łez? Czy oszalejecie ze szczęścia, a może wasz cały świat tym razem legnie w gruzach? Tak właśnie się czułem tego dnia, który był naznaczony cyfrą jeden. To był pierwszy dzień 1971 roku napiętnowany moją Liczbą Życia. Efekty wszystkich wcześniejszych przemyśleń i dociekań, na które straciłem pół roku, zrodziły w mojej wyobraźni urojoną ideę. Wbiłem sobie do łba, że jeśli cokolwiek istotnego ma zdarzyć się w moim parszywym życiu, to tylko wtedy, kiedy będzie królować przeklęta cyfra jeden. Jeśli sądzicie, że mając takie nastawienie można normalnie egzystować, to jesteście w



błędzie. Umysł pracuje wtedy na pełnych obrotach i wszystko analizuje. Najdrobniejsze szczegóły, gesty i słowa. Począwszy od zwykłej czynności, którą może być zawiązanie sznurówek u butów, poprzez rzucenie spojrzenia w kierunku innej osoby lub wyartykułowanie kilku dźwięków. Z takim nastawieniem człowiek jest przekonany, że nawet jeden niewinny ruch może okazać się fatalny w skutkach lub zostać elementem triumfu. Zanim cokolwiek zrobisz lub powiesz, to przez twoją głowę przetacza się lawina myśli. Jesteś przekonany, że musisz wybrać najbezpieczniejsze rozwiązanie, że musisz być ostrożny, rozsądny i świadomy swojego wyboru. Dziś wiem, że to absurd, ale ponad dwadzieścia lat temu miałem zupełnie inne zdanie na ten temat. Najgorsze było to, że nie potrafiłem się temu urojeniu przeciwstawić. Nawet nie brałem pod uwagę innego rozwiązania i nie potrafię odpowiedzieć na proste pytanie, które można zawrzeć w jednym słowie - dlaczego?

Pamiętny 9 stycznia był jednym z najbardziej męczących dni w moim życiu. Wieczorem byłem tak padnięty, że ledwo powłóczyłem nogami. Czuję się, jakbym od świtu do zmierzchu harował w kamieniołomach albo przy jakimś innym katorżniczym zajęciu. Doskonale pamiętam, że kiedy ogłoszono capstrzyk i we wszystkich celach zgasły światła, leżałem na pryczy z zamkniętymi powiekami i nie potrafiłem zasnąć. Byłem tak zdojony i wypluty, że z tego potwornego zmęczenia nie mogłem zapaść w sen. Do moich uszu dochodził miarowy oddech Johnnego i ciche pochrapywania Cyferki. Chłopaki kimali w najlepsze, a mój umysł raziły błyskawice rozbieganych myśli. Nim zapadła północ zdążyłem zjarać cztery szlugi, a potem jeszcze przez dwie godziny przewracałem się z boku na bok.

Wszystkie następne dni, aż do 18 stycznia były zwyczajne. Żyłem i funkcjonowałem nie analizując jakichkolwiek zdarzeń, nie bałem się wypowiadać słów i nie kontrolowałem na siłę swoich gestów. Niby wszystko było normalnie, jednak w mojej głowie czaiła się ponura myśl, która brzmiała jak surowo wypowiedziana komenda: *Pamiętaj, że coś nadejdzie, kiedy będzie rządziła twoja cyfra!*

Na początku moi współlokatorzy zachowywali się bardzo tolerancyjnie. Nie było z ich strony drwiących komentarzy i szyderczych stwierdzeń. Myślę, że zarówno lekkoduszny Johnny, jak i poważny Cyferka cierpliwie czekali, żeby się przekonać czy mam rację i czy faktycznie zdarzy się coś, co znajdzie twarde odzwierciedlenie w mojej

rzeczywistości.

Zacząłem egzystować w oczekiwaniu na konkretne daty.

Z początkiem nowego miesiąca na kartce papieru znowu zrobiłem odręczny kalendarz i powiesiłem go na ścianie obok mojej pryczy.

Mijały kolejne dni podporządkowane mojej Liczbie Życia.

Przeleciał ósmy luty, siedemnasty, dwudziesty szósty i nic się nie wydarzyło.

Kompletnie nic.

Oczywiście oprócz tego, że w tych szczególnych dniach katowałem swą duszę nadmiarem bolesnych emocji, a wieczorem padałem na pysk.

Nastała wiosna. Marcowe roztopy konały w promieniach kwietniowego słońca, a dyrekcja więzienia szykowała się do poważnej inwestycji. Budynek, w którym znajdowała się brama wjazdowa miał zostać poddany rozbiórce, a w jego miejsce planowano budowę nowego obiektu. Po peronach krążyła plotka, że prace mają ruszyć z początkiem maja.

Pewnego razu w łaźni usłyszałem, jak ktoś palnął wesołym głosem:

- Kiedy tylko ściągną z zawiasów bramę, będziemy mieli okazję stąd prysnąć!

We wronieckim więzieniu świąteczne posiłki zawsze były nieco urozmaicone. W wielkanocną niedzielę, każdy skazaniec dostał na śniadanie trzy kromki razowego chleba, porcję pasztetu, dwa plasterki kiełbasy, kubek czarnej kawy i jajko na twardo.

Siedzieliśmy wspólnie przy stole, Johnny obrał jajko ze skorupki, powąchał je i rzekł z niesmakiem:

- Trochę wali zbukiem.

- Jak nie masz ochoty, to możesz mnie poczęstować - odparłem z uśmiechem.

- Aż tak bardzo nie cuchnie - stwierdził i włożył je w całości do ust.

Po skończonym posiłku zalegliśmy na pryczach.

Cyferka zaczął czytać książkę, a Johnny zagadnął do mnie:

- Generale Ropuch i co z twoją Liczbą Życia? Sprawdza się klątwa cyfry jeden?

W odpowiedzi posłałem mu pogardliwe spojrzenie.

- Czyli od początku roku jest dupa i nie zdarzyło się nic konkretnego? - Zapytał, a ja miałem wrażenie, że specjalnie zaczyna podkreślać drażliwy

temat, żeby mnie wkurzyć.

- Przestań truć - odparłem.

Chyba zignorował moje słowa, bo ciągnął dalej:

- Może powinieneś znaleźć sobie jeszcze jakąś inną liczbę? No nie wiem, na przykład siedem albo osiem.

- Johnny odpuść sobie! - Syknąłem, wpadając mu w zdanie. - Sam sobie znajdź!

- Ja sądzę, że moją szczęśliwą liczbą jest trzynaście - odparł z uśmiechem.

- Nie wiem dlaczego większość ludzi, kojarzy ją z niefartem. Poza tym miałem kiedyś taki fajny brelok przy kluczach, wyglądający jak miniatura czarnej kuli bilardowej z numerem trzynaście.

- Jakbyś trochę poczytał i zdobył odrobinę wiedzy, to miałbyś pojęcie czemu ta liczba jest uważana za pechową - rzuciłem z nutką triumfu w głosie, bowiem byłem święcie przekonany, że mój rozmówca nigdy nie słyszał o tym, skąd wziął się ten przesąd.

- To może mnie oświecisz wszytkowiedzący mądralo? - Rzekł rozbawiony i posłał mi swój szelmowski uśmiech.

- Jest wiele teorii - odparłem - chociaż najbardziej znana dotyczy pogromu zakonu Templariuszy, który miał miejsce w XII wieku. Inna wersja pechowej trzynastki sięga zamierzchłych czasów chrześcijaństwa i dotyczy ostatniej wieczerzy, w której oprócz Syna Bożego, brało udział dwunastu apostołów. Razem było ich trzynastu, a wśród nich również Judasz. Jak na ironię trzynastka jest również powiązana ze światem skazańców czyli rzeczywistością, która jest nam bardzo bliska - powiedziałem i spojrzałem mu prosto w oczy.

- A niby w jaki sposób? - Zapytał z autentycznym zainteresowaniem.

- Niegdyś istniało przekonanie - rzekłem - że skazanemu na śmierć przez powieszenie, należało nałożyć pętlę, której węzeł musiał być owinięty sznurem trzynaście razy. A tak przy okazji - znienacka zmieniłem temat - jaki numer widnieje po drugiej stronie drzwi? - Kiwnąłem głową w stronę wrót naszej celi.

- 715 - odpowiedział bez zastanawiania.

- Umiesz rachować? - Zapytałem z drwiną. - To policz ile wynosi suma tych cyfr i zaraz się zorientujesz, że jednak my też mamy pecha.

- O kurde - powiedział po chwili - trzynaście...

- Siedzisz synku pod trzynastką od kilku ładnych lat i dopiero teraz to odkryłeś - pokiwałem głową, jakbym chciał tym gestem podkreślić, że jest żalonym ignorantem. - Wiedziałeś o tym Cyferka? - Zapytałem i zerknąłem na górną pryczę.

Gryski spojrział na mnie, odłożył książkę i odparł:

- Chyba naprawdę mnie nie doceniasz - westchnął. - Tam gdzie pojawiają się jakiegokolwiek cyfry, żadne fakty nie umykają mojej uwadze.

- To czemu wcześniej nic nie powiedziałaś? - Johnny odezwał się z nieukrywaniem wyrzutem.

- A co tu mówić, panie kolego? Zawsze mógłbyś stwierdzić, że to tylko zbieg okoliczności - odpowiedział i wzruszył ramionami. - Poza tym z twoich słów jasno wynika, że i tak nie wierzysz w pechową trzynastkę.

- A ja wam powiem - wtrąciłem - że mnie prześladowała ta liczba.

Niemal równocześnie zwrócili swoje twarze w moim kierunku.

- Ty już przestań wymyślać kolejne bajki - rzucił Johnny - wystarczy, że się upierdziałaś na swoją Liiiiiczbę Życiaaaaa! - Dokończył zawodzącym głosem niczym wprawny konferansjer.

- Trzynastka powiadasz, a dlaczego? - Gryski natomiast okazał zainteresowanie.

Po chwili obaj usłyszeli, że dawno temu przez długie lata na mojej więziennej bluzie widniał numer ewidencyjny 29-11, a potem napomknąłem o celach.

Na koniec zwróciłem się do Johnnego:

- Naprawdę myślisz, że to po prostu przypadek? Tak właśnie uważasz? Suma cyfr każdej cholerniej kwatery w której siedziałem, zawsze wynosiła trzynaście. Kapujesz? Zawsze! Błagam cię, nie chrzań tylko, że to pieprzony przypadek. - Świadomie użyłem słowa, które było jego ulubionym określeniem.

Johnny Alcatraz spojrział na mnie i rzekł:

- Jeśli wziąć pod uwagę teorię naszego geniusza - przewrócił oczami i łypnął wzrokiem na Cyferkę - to wcale nie jest trzynastka, tylko czwórka.

- Tak to sobie możemy fandzolić bez końca - stwierdziłem. - Liczba Życia nie ma nic wspólnego z tą numeracją.

- Skąd wiesz? A może ma? - Johnny upierał się niczym dziecko. - Może czwórka jest dla ciebie tak samo ważna jak jedynka?

- Nasz młody przyjaciel - odezwał się Gryski - chyba stara się doszukać drugiego dna.

- Niczego nie chcę się doszukiwać, tak tylko gadam - stwierdził - bo na tym kwadracie od miesięcy rozmawia się ciągle o tym samym.

- Czwórka nie ma nic wspólnego z... - Zamilkłem w pół zdania, bo nagle mnie olśniło.

- Coś się tak zaciął? - Zapytał Johnny. - Czyżby jakieś nowe odkrycie? - Dodał szyderczym tonem.

Usiadłem na pryczy i sięgnąłem do kieszeni po papierośnicę.

*To ma sens! Kurwa mać, to naprawdę ma sens!* - Krzyknąłem w myślach.

- Od urodzenia mieszkałem w Kaliszu w dzielnicy zwanej potocznie Złote Dachy - odparłem drżącym głosem. - Nad drzwiami do naszej kamienicy widniał numer cztery, a nasze mieszkanie znajdowało się na pierwszym piętrze pod czwórką...

- A widzisz! - Johnny prawie wrzasnął. - I co powiesz?! Sprawdziło się, prawda? A już miałeś ochotę rzucić się na mnie i wyrwać mi serce. Teraz powinieneś mi podziękować, bo dzięki mnie odnalazłeś kolejny ślad magii liczb w swoim życiu. Daj fajeczkę na to konto - powiedział i klasnął w dłoń.

- Wiesz co sądzę - odezwał się Cyferka i spojrzał na mnie - nie chcę ci niczego sugerować, ale poniekąd Johnny ma rację. Moim zdaniem z jakiegoś powodu czwórka określa miejsce twojego pobytu.

Banalna historia liczby trzynaście i sprowadzenie jej do cyfry cztery, okazała się dla mojej wyobraźni przysłowiową beczką z prochem. Nie dość, że od kilku miesięcy żyłem czekając na dni, kiedy przypada moja Liczba Życia, to jeszcze uległem przekonaniu, że inne cyfry również znaczą coś ważnego.

Tamtego przedpołudnia wziąłem sobie za cel odnalezienie ich znaczenia.

W każdy powszedni dzień po śniadaniu wychodziłem na zbiórkę razem z więźniami, którzy udawali się do pracy. Byłem najstarszym skazańcem, zarówno pod względem wieku, jak i odgarowanego wyroku. Wszyscy klawisze wronieckiego pensjonatu wiedzieli kim jestem i gdzie pracuję. Właściwie traktowali mnie chyba jak pracownika, a nie jak osadzonego. Oczywiście miałem obowiązek rankiem stawić się na sterowni i zameldować swoje wyjście do archiwum. Dyżurny wpisywał tylko godzinę mojego wyjścia i mogłem ruszać do swoich zajęć. Nikt mnie nie eskortował w trakcie drogi.

Tydzień po świętach wielkanocnych stała się rzecz, która otworzyła kolejne wrota mojej naszpikowanej cyframi obsesji.

Jak co rano zjawiłem się na sterowni. Klawisz dyżurny siedział za biurkiem, a obok niego stało dwóch innych strażników i wtedy usłyszałem, jak jeden z nich rzucił wesołym głosem:

- Zamiast balować, siedzisz na służbie?!

- Balować będę wieczorem - padła krótka odpowiedź.

- To ile kończysz lat? - Zapytał drugi.

- Trzydzieści sześć - rzekł siedzący za biurkiem.
- No to wszystkiego najlepszego chłopie! - Powiedział z uśmiechem i uścisnął solenizantowi dłoń.

Po chwili gad obchodzący dziś swój urodzinowy jubileusz naniósł odpowiednią adnotację w "dzienniku służby".

- Możecie iść Żabikowski! - Rzucił w moją stronę. - Otwórz mu wrota - powiedział do tego, który przed chwilą złożył mu gratulacje.

Obróciłem się na pięcie i bez słowa ruszyłem za strażnikiem w kierunku schodów wiodących na parterową kondygnację. W roku 1971 wszystkie okratowane przejścia otwierano jeszcze za pomocą klucza, a era zamków elektronicznych miała dopiero nadejść w odległej przyszłości.

Klawisz otworzył kratę, puścił mnie przodem, a na odchodne powiedział:

- I żebyście Żabikowski nie zblądzieli gdzieś po drodze.
- Tutaj nie sposób się zgubić - odparłem i wolnym krokiem poczłapałem przed siebie pustym korytarzem.

Mimowolnie zacząłem w myślach rachować, jaka Liczba Życia jest przypisana dyżurnemu, który miał dziś swoje trzydzieste szóste urodziny. Jako, że zawsze byłem dobry w rachunkach, szybko uzyskałem wynik. Piątka rządziła jego istnieniem, a zaraz potem sprawdziłem, która cyfra włada dzisiaj dniem. *No proszę, też piątka* - szepnąłem w duchu i nagle w mojej głowie zaświtała kolejna, na wpół szalona myśl.

- Muszę to koniecznie sprawdzić - syknąłem pod nosem i przyśpieszyłem kroku, żeby czym prędzej znaleźć się w podziemiach archiwum.

Szorpak krzątał się po kanciapie. Na blacie biurka spoczywał duży karton.

- Dzień dobry - powiedział na mój widok.
- Dobry dobry - odparłem i natychmiast zorientowałem się, że przestawia rzeczy, które do tej pory zalegały na stoliku w rogu pomieszczenia. - A cóż to? - Zapytałem. - Szykuje się jakieś przemeblowanie?

Wroniecki archiwista uśmiechnął się i rzekł:

- Przyniosłem coś - strzelił wzrokiem na kartonowe pudło - i trzeba zrobić miejsce na to cacko, które jest w środku.

Chwilę później na stoliku spoczął prawdziwy radiodbiornik. Miał drewnianą, politurowaną obudowę w mahoniowym kolorze, cztery białe klawisze do przełączania zakresu fal i dwa okrągłe pokrętła. Jednym ustawiało się częstotliwość, a drugim regulowało głośność. U dołu, tuż pod klawiszami widniał napis Sonatina.

- Służyło mi wiernie ponad dziesięć lat - powiedział Szorpak - ale tydzień

temu zostałem szczęśliwym posiadaczem prawdziwego sprzętu stereo - dodał z dumą, chociaż nie miałem pojęcia o czym mówi. - Z okazji świąt wielkanocnych sprezentowałem sobie sztandarowy produkt naszej rodzimej Diory - pochwalił się, a ja pokiwałem z uznaniem głową, jakbym faktycznie cokolwiek wiedział w tym temacie. Muszę jednak przyznać, że radio które przytargał z sobą wyglądało naprawdę okazale. - Mam nadzieję, że będzie dobrze odbierać, chociaż to pomieszczenie jest jak prawdziwy bunkier - powiedział i jednocześnie wetknął z tyłu wtyczkę kabla, który łączył się z aluminiową anteną przypominającą prawosławny krzyż. Włączył odbiornik i w tym samym momencie w głośniku rozległy się charakterystyczne odgłosy szumów i trzasków. Sekundę później w tle dało się usłyszeć dźwięki muzyki. - Chwyć z łaski swojej antenę - powiedział do mnie - podnieś ją do góry i powoli poruszaj raz w prawo raz w lewo. Znajdziemy najlepsze pasmo i wtedy ją zawiesimy w tym miejscu.

Kwadrans później w kanciapie, którą Mirek z dumą nazywał swoim biurem, rozbrzmiewała radiowa audycja.

W tamtych latach Polskie Radio nadawało trzy programy. W eterze królowały Jedyńka, Dwójka i Trójka, jednak w pomieszczeniu archiwum najlepiej odbierał pierwszy program.

- I co powiesz na to? - Zapytał Szorpak, posyłając mi promienny uśmiech. - Radio to fajna sprawa - ciągnął dalej nie czekając na moją odpowiedź - człowiek może posłuchać muzyki, wiadomości albo dowiedzieć się czegoś interesującego. Reportaże, wywiady, transmisje sportowe... Osobiście lubię słuchać Trójki, bowiem tam jest najwięcej muzyki. U siebie w domu radio mam włączone przez cały dzień - powiedział i podniósł się z miejsca. - No dobrze, niech nam tutaj coś pogrywa - klepnął dłonią w górną pokrywę i rzekł: - Pora na poranną szklaneczkę herbaty, a potem bierzemy się za te nieszczęsne kartoteki.

W temacie radioodbiornika zdradzę wam jeszcze, że na początku przez kilka dni, słuchałem wszystkiego z zainteresowaniem. Potem jednak wszelkie informacje puszczałem mimo uszu i reagowałem jedynie na dźwięki muzyki. Dopiero w niedalekiej przyszłości, a dokładnie rzecz ujmując na trzy tygodnie przed dniem, kiedy wyrwałem się z objęć mojej obsesji, zacząłem uważnie słuchać. Najpierw tolerowałem tylko jedną audycję, którą obecnie można nazwać kultową. Natomiast począwszy od chwili, kiedy pojąłem, że jutro jest czyste, kompletnie zmieniłem swoje nastawienie. Byłem wtedy starym, zmęczonym człowiekiem, któremu w

końcu udało się pokonać własną paranoję. Pozbyłem się problemu i znowu przejrzałem na oczy, bo przecież ludzkie życie, to nie tylko pasmo oszałamiających zwycięstw i sukcesów, to również popełnianie fatalnych błędów i bolesne dźwiganie się z kolan.

Nie wiem czy zdajecie sobie sprawę, ale porządkowanie starych dokumentów i segregowanie akt, to w sumie nudne i mozolne zajęcie. Efekty takiej pracy są widoczne po długich miesiącach, a czasami nawet dopiero po latach. Wronieckie archiwum było tego najlepszym przykładem.

Szorpak przez bardzo długi czas, sam działał w podziemiach budynku administracyjnego i chyba niejednen klawisz zazdrościł mu tak spokojnej i cichej posady. Pomijając dyrektora więzienia, wroniecki archiwista nie miał nad sobą żadnej pieczy i sam sobie ustalał plan zajęć oraz tempo pracy. Roboty miał sporo, jednak dyrektor nie chciał się zgodzić na zatrudnienie kolejnej osoby i właśnie dzięki temu, załapałem się na fuchę pomagiera. Od blisko dziesięciu miesięcy działaliśmy wspólnie i powiem wam, że końca naszej dłubaniny ciągle nie było widać. Ktoś mógłby zapytać:

- To cóż do ciężkiej cholery robiliście całymi dniami?!

No jak to co? Robiliśmy swoje. Wyobraźcie sobie regały pełne szarych teczek, a w nich setki, a może nawet tysiące dokumentów, kwestionariusze więziennych przyjęć, wypiski do cywila, raporty klawiszy, rozkazy, wewnętrzne uchwały, przeniesienia osadzonych do innych placówek i sądowe akta, które wędrowały do paki za każdym skazanym. Na ostatnim regale, który ciągnął się wzdłuż ściany spoczywała część dokumentów z lat międzywojennych. Szorpak już dawno temu samodzielnie uporządkował wszystkie papiery do roku 1935, a reszta łącznie z okresem II wojny światowej nadal zalegała w drewnianych skrzyniach. Nim dołączyłem ze swoim skromnym wsparciem do wronieckiego archiwisty, działał w pojedynkę i nie było fizycznej możliwości, żeby sam ogarnął tematy z zamierzchłej przeszłości. Akta pochodzące z lat II Rzeczypospolitej i hitlerowskiej okupacji, nosiły znamiona wartości historycznej, jednak dla władz więzienia ten fakt był zupełnie nieistotny. Mirek swojego czasu opowiedział mi, jakie podejście do funkcjonowania archiwum miał dyrektor wronieckiej placówki. Usłyszał z jego ust jedno zdanie, które w jasny sposób określało istotę sprawy.

- Wy Szorpak, musicie w końcu zrozumieć - rzekł najważniejszy funkcjonariusz w tym pudle - że to jest więzienie, a nie muzeum!



Ufam, że pamiętacie pomysł Ozurskiego z kartotekami, o którym pisałem w swoim poprzednim skoroszycie. Facet opracował koncepcję, która mozolnie była kontynuowana przez wronieckiego archiwistę. Na kolejnych regałach spoczywały więc akta więźniów z drugiej połowy lat czterdziestych, następnie pięćdziesiątych i sześćdziesiątych. Każdateczka miała swoje miejsce na półce i własną sygnaturę. Naszym zadaniem natomiast było skrupulatne stworzenie czterokrotnie zdublowanych kartotek. Z jednej strony w archiwum panował porządek, a z drugiej nadal królował chaos. Od czasu do czasu otrzymywaliśmy akta kogoś, kto właśnie zakończył odbywanie kary i wtedy te dokumenty zyskiwały znamiona priorytetowych. Ktoś mógłby nasze zajęcie nazwać robotą głupiego, ale chcąc nie chcąc tworzyliśmy rejestry osób, które kiedyś były osadzone w tym więzieniu. Prawdę powiedziawszy, to nie mieliśmy nawet czasu, żeby się poobijać. Każdego ranka kwadrans przeznaczaliśmy na wypicie herbaty, około jedenastej robiliśmy sobie kolejną piętnastominutową przerwę, a dwie godziny później główny wroniecki archiwista zniknął na trzydzieści minut, żeby zszamać obiad w kantynie. Nie przeczę, czasami udało nam się uciąć jakąś dłuższą dyskusję, ale to zdarzało się bardzo sporadycznie.

W moich wspomnieniach jawi się jeszcze pewna sytuacja, która miała miejsce kilka miesięcy wcześniej. Pamiętam jak pod koniec grudnia 1970 roku Szorpak powiedział:

- Panie Stanisławie - czasami zwracał się do mnie per pan, choć byliśmy na ty - pracujesz pan ze mną już blisko pół roku i stwierdzam, że jesteś pan bardzo małomówny. Z tego co sobie przypominam, kiedyś pan częściej otwierałeś usta i byłeś skłonny do rozmowy.

Wykpiłem się wtedy jakimś durnowatym tłumaczeniem o swoim podeszłym wieku, a on chyba uznał, że marny ze mnie gaduła. Podejrzewam, że obaj przywykliśmy do takiego stanu rzeczy. Nie okazywałem mu wylewnej sympatii, ale powiem wam, że już wtedy traktowałem Mirka jak dobrego kumpla. Naprawdę go lubiłem i uważałem, że jest porządnym gościem. Wiedziałem, że stanowisko, które piastował we wronieckim więzieniu na pewno nie było spełnieniem jego zawodowych marzeń. Czasami tak bywa, że przez przypadek lub po prostu dla pieniędzy człowiek utknie na etacie, przywyka do swoich obowiązków i im dłużej tkwi w tym wszystkim, tym trudniej mu się później wyrwać. Szorpak w głębi duszy marzył o tym, żeby zostać pracownikiem instytucji,

która nazywała się Archiwum Główne Akt Dawnych i miała swoją siedzibę w Warszawie. Średnio dwa razy w miesiącu narzekał, że nie robi w życiu niczego mądrego. Twierdził, że praca we wronieckim więzieniu miała dla niego być tylko tymczasowym zajęciem albo krótkim przystankiem na szlaku zawodowej kariery. Jednak stało się zupełnie inaczej. Rzeczywistość przykuła go do podziemi archiwum.

Tego poranka, kiedy przyniósł z sobą radio, siedzieliśmy przy biurku, sączyliśmy herbatę, a z głośników Sonatiny płynęły ciche dźwięki muzyki.

- Od razu jest milej, prawda? - Szorpak właściwie nie pytał, tylko twierdził.

Spojrzałem na odbiornik i w odpowiedzi pokiwałem głową.

- Coś pan taki zamyślony, panie Stanisławie? - Zapytał nagle, przyglądając mi się badawczym wzrokiem, a na jego twarzy zagościł uśmiech.

W tym samym momencie spiker powiedział, że minęła ósma zero zero i zaczął czytać wiadomości.

- Nie jestem zamyślony, tylko słucham - odparłem, co w połowie było prawdą.

Mój umysł drażyła myśl, która zrodziła się rankiem na sterowni, kiedy usłyszałem, że klawisz dyżurny ma dziś urodziny. Zanim dotarłem do archiwum wiedziałem, że muszę coś sprawdzić.

Po prostu muszę i nic nie mogło mnie przed tym powstrzymać.

Nie wiem dlaczego zdecydowałem się zdradzić Szorpakowi teorię Cyferki. Może czułem, że powinienem się z nim podzielić tą wiedzą? A może chciałem się jeszcze o czymś przekonać?

Położyłem na blacie biurka szklankę, a następnie sięgnąłem po ołówek i kartkę papieru.

- Kiedy się urodziłeś? - Zapytałem znienacka.

Archiwista spojrzał na mnie zaskoczonym wzrokiem.

- Podaj mi datę - rzekłem.

- Dwudziesty ósmy luty tysiąc dziewięćset trzydzieści pięć - odpowiedział. Zapisałem liczby i po chwili zacząłem mu wyjaśniać...

- Czyli według tej reguły - powiedział wpatrując się w kartkę - moja Liczbą Życia jest trzy, tak?

- Dokładnie - odparłem.

- I twierdzisz, że każda data opatrzona tą cyfrą powinna mieć w moim życiu jakieś znaczenie? - Upewniał się czy dobrze zrozumiał moje słowa.

- Może, ale nie musi. Nie u każdego sprawdza się ta teoria. W moim wypadku ma pokrycie, ale nie wiem jak będzie u ciebie.

- Ciekawe. Nawet bardzo ciekawe - powiedział i dodał: - Chociaż można pokusić się o stwierdzenie, że to tylko matematyczna sztuczka.

- Sztuczka?! - Zmarszczyłem brwi w taki sposób, jakbym chciał podkreślić, że czuję się rozczarowany jego wnioskiem. - Sztuczki to robią iluzjoniści i hochsztaplerzy - warknąłem - a tutaj nie ma żadnej ściemy. Jakkolwiek byś nie dodawał tych osiem cyfr, które są datą twoich urodzin, za każdym razem wynik równania sprowadzony do liczby pojedynczej będzie identyczny. Takie są fakty. Gryski twierdzi, że to matematyczny paradoks.

- No dobrze, niech będzie. Jak zwał, tak zwał - chyba w ten sposób chciał przyznać mi rację. Nagle spojrzał na mnie i zapytał: - Gryski? Mówisz w tej chwili o kimś, kto się nazywa Edward Gryski?

- Tak, a czemu jesteś taki zdziwiony? - Jego słowa mnie zaintrygowały.

- Nie mogę powiedzieć. Wybacz, ale po prostu nie mogę.

- Daj spokój Mirek, przecież znamy się tyle czasu...

- Panie Stanisławie - wpadł mi w zdanie - to nie ma w tej chwili żadnego znaczenia.

- Nie darzysz mnie nawet odrobiną zaufania? - Zadałem mu bezpośrednio pytanie. - Sądzisz, że mógłbym ci w jakiś sposób zaszkodzić albo stać się powodem problemów?

Nic nie odpowiedział, tylko westchnął.

- Posłuchaj, od wielu miesięcy dzielę celę z Edwardem Gryskim, którego ochrzciliśmy ksywką Cyferka oraz z Januszem Drabińskim, znanym jako Johnny Alcatraz - mówiłem spokojnym i opanowanym głosem. - Nie wiem czy słyszałeś, ale to właśnie Johnny w 1964 dał popis z rockandrollowym przebojem, zresztą nieważne. Chodzi o to, że nie musisz się obawiać mojej niedyskrecji. Czy według ciebie, jest w tym coś dziwnego, że chciałbym wiedzieć o sprawach, które dotyczą się moich współlokatorów? Postaw się na moim miejscu. Rozumiesz w czym rzecz? - Zapytałem.

- Rozumiem, ale to poufna sprawa - jego słowa brzmiały bardzo tajemniczo.

- Poufna?! - Nie ukrywałem swojego zaskoczenia. - Powiedz o co biega. Przysięgam na Boga, że będę milczał jak grób. Daję ci moje słowo - zadeklarowałem, chociaż nie miałem pojęcia czy moje słowo jest dla niego cokolwiek warte.

Szorpak po chwili przysunął się z krzesłem nieco bliżej i zaczął mówić szeptem:

*Dalsza część książki dostępna w wersji  
pełnej.*

